

Gdy zdarzy mi się popełnić jakieś głupstwo, mama się złości i wyzywa mnie od nicponiów. Natomiast Oskar mówi tylko, że Maćko nigdy by tak nie postąpił – a to bardziej boli. Na imię mam Maciej na cześć owego Maćka – tego, co w lipcu 1410, odziany w stal i pióropusze, pokonał armię krzyżacką w bitwie pod Grunwaldem. Wszyscy wiedzą, że Maćko jest straszliwy w boju, lecz poza tym – do rany przyłoż. To postać z powieści pana Sienkiewicza. Ale Oskar wyjmuje grubą księgę o kruchych stronicach i tam, w spisie polskich rodów rycerskich, czyta nam o trzech braciach Bielawskich herbu Zaremba, którzy brali udział w tej bitwie i w podzięcie za zwycięstwo *erygowali* kościół.

Nasz herb jest wspaniały. Czarny lew z wyciągniętym językiem i rozcapierzonymi pazurami staje dęba nad zamkowym murem. Nad nim rycerski hełm w koronie, zwieńczony takim samym lwem. Na srebrnym pucharku, który jest moim podarunkiem chrzestnym, ten mur zamkowy jest z koralu. Czasami wolno mi zapieczętować list taty. Oskar ściąga swój sygnet z wrytym herbem, a ja mogę chuchnąć na niego i wcisnąć złoto w grudkę czerwonej lawy. Wdychać woń stopionego laku to czuć się wybrańcem.

Tata nie mówi nigdy, że ci z herbem są lepsi od innych, tylko że nam nie wolno go pokalać. Trzeba być wielko-

dusznym wobec słabych i hardym wobec możnych, walczyć z otwartą przyłbicą, dotrzymywać słowa i szanować damy. *Noblesse oblige*, potrafi westchnąć tata, kiedy w tramwaju ustępuje miejsca dużo młodszej kobiecie. *Noblesse oblige*, słyszę, kiedy wygląda na to, że chce pozwolić babci wynieść kubek ze śmieciami.

Lecz w książkach ci herbowi są cenieni wyżej. Nawet ten najuboższy jest zawsze więcej wart od jakiegoś bogatego kramarza. Kupiec mówi „wasza wielmożność pozwoli”, ściga czapkę i kłania się do samej ziemi. To wielki zaszczyt dla niego móc udzielić gościny jego łaskawości. Kupcowi oczywiście wstyd, że sprzedaje drogo to, co kupił tanio, jak jakiś Żyd. Herbowi nigdy tak nie robią, dla nich liczy się tylko honor; grosze niech ściubią ludzie małego ducha. Jedynie u Balzaca ci herbowi żenią się czasem dla pieniędzy, ale to przecież Francja.

W polskich książkach herbowi nie zawsze są dobrzy. Książę, na cześć którego Jarema dostał swoje imię, nabija ludzi na pal, ale wyłącznie za najgorsze wykroczenia. Bywają gwałtowni, porywczy i okrutni, ale prawie żaden z nich nie jest podły. Chyba że nosi imię Zygryd albo Ulrich i szwargocze po niemiecku.

Herb pomaga. O ile ciężko jest bez przerwy – z racji pochodzenia – musieć zmywać naczynia i usługiwać mamie, o tyle kompensuje to z nawiązką znudzona mina, jaką przybieram, gdy kolega z klasy chwali się, że mają auto. Samochód może kupić sobie każdy. Lecz tego, co ja mam, nie można dostać za pieniądze. Nie mówię tego, bo herbowi nigdy się nie przechwalają, nawet samochodami.

Nie muszą. Każdy wie, że to herbowi stoczyli wszystkie wojny i napisali wszystkie książki. „Autor urodził się

w 1505 roku, w zamożnej rodzinie szlacheckiej”, można przeczytać o tych dawnych, a o tych nowych, że „autor urodził się w roku 1897, w zubożałej rodzinie szlacheckiej”. W szkolnych podręcznikach piszą, że wszyscy ludzie rodzą się równi, ale każdy słyszy, że „rycerski” brzmi lepiej niż „chamski”. Wieśniacy są okrutni, głupi i zapici, i ledwie umieją się wystawiać, tak wynika z najpopularniejszych szlagierów. Mieszkamy w „rzeczypospolitej ludowej”, w której „wieśniak” jest wyzwiskiem.

W domu nie mówi się nigdy o pieniądzach. Nie przy dzieciach. Pięćdziesiąt lat później, w archiwum, ścisza mnie za gardło. Kiedy zaczynam szkołę i mogę porównać, nie zdaje mi się, byśmy byli biedniejsi od innych. Mieszkamy wśród pięknych orzechowych mebli, Księstwo Warszawskie, polski rodzaj empire’u, choć nie tak wystawny. Na zdjęciach z tych lat pięćdziesiątek ubrany jest w niebieski aksamit i białe getry, mama nosi futro. Ale jesteśmy już bez grosza. Doktor Oskar Bielawski, były dyrektor szpitala, zalega z opłatą rachunków w wysokości dwóch rocznych pensji, komornik już wycenił jego biurko i obrazy. Widzę, że dostał z łaski etat w jakiejś przychodni, ale teraz rozważa się zakaz prowadzenia prywatnej praktyki. Oficjalnie dlatego, że w Polsce lat pięćdziesiątych jest za wielu lekarzy. Prawdziwy powód jest zapisany niewprawnym charakterem pisma na marginesie tej decyzji: „Negatywnie nastawiony do nowego ustroju”.

Mama musi wiedzieć, że jej mąż, który kupuje jej naszyjnik z pereł, jednocześnie pożyczka na jedzenie. Myślę, że ona protestuje, ale nie za bardzo. Ona także wie, że *noblesse oblige*.

Chyba już jestem nastolatkiem, gdy się dowiaduję, dlaczego musieliśmy opuścić jasne mieszkanie w przyspi-

talnym parku i przeprowadzić się do ponurego budynku w Poznaniu, gdzie na schodach czuć uryną, a przy drzwiach są trzy dzwonki, jeden dla każdej rodziny. Ale dopiero czterdzieści lat później odkrywam w archiwum, że być może nie było to nieuniknione. Wiosną 1957 roku Oskar dostaje propozycję: Partia gotowa jest przytknąć oko na jego brak entuzjazmu dla osiągnięć psychiatrii radzieckiej. Może pozostać dyrektorem szpitala, który zbudował od podstaw. Pod warunkiem, że wyrzuci z pracy żonę.